

The background of the cover is a close-up photograph of a woman's bare back. She has long, wavy, reddish-brown hair. Her right hand is raised, holding a strand of her hair. Her left hand is holding a single, vibrant red rose with green leaves. She is wearing a red, ruffled garment that is partially visible at the bottom and right edges of the frame. The lighting is soft and warm, highlighting the texture of her skin and the petals of the rose.

*Kelly Jones to świetna pisarka.
Nie wolno jej przegapić!*

Nicholas Sparks

DZIEWCZYNA, KTÓRA
SŁYSZAŁA KOLORY

KELLY JONES

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lauren i Isabella

Nowy Jork, sierpień 2009

Lauren O'Farrell, idąc śpiesznie od stacji metra na spotkanie z Isabellą Fletcher, zdawała sobie sprawę, że kropelki potu pod kołnierzykiem bluzki i między piersiami są w równym stopniu rezultatem nerwów co upału, który od kilku dni dawał się we znaki miastu. Nigdy przedtem nie zrobiła czegoś takiego. Zdarzało się jej zbierać informacje dość podchwytliwymi sposobami, lecz ani razu nie użyła kłamstwa, by wprosić się do czyjś domu. Była przekonana, że jest bardzo mało prawdopodobne, jeśli nie nierealne, by pani Fletcher zgodziła się otworzyć drzwi komuś, kto oskarża jej matkę o to, że była kolaborantką nazistów, kobietą, która pomogła Hitlerowi usunąć z państwowych galerii dzieła „sztuki zdegenerowanej”, jak je nazywał, a następnie przypatrywała się biernie, jak niszczone obrazy, grafiki, rysunki uznane za mało ważne, a cenniejsze dzieła przestawiano jak polityczne pionki w grze prowadzącej do wojny i ostatecznego rozwiązania. Kobieta, która przypuszczalnie wzbogaciła się na „pozbywaniu się” dzieł sztuki i która, jak wszystko na to wskazuje, zachowała parę obrazów we własnej kolekcji.

Pani Fletcher była wyraźnie sceptyczna, gdy Lauren zadzwoniła do niej tego ranka i wyjaśniła, że wynajęto ją, by przeprowadzić prywatne śledztwo w sprawie zaległych należności, albowiem właściciel budynku zagroził procesem sądowym, i dlatego ona

rozmawia z lokatorami, zbierając informacje. Same kłamstwa. Gdy starsza pani poprosiła o konkrety odnośnie do procesu, Lauren wykręciła się tajemnicą służbową, tłumacząc, że gdyby je zdradziła, mogłoby to wpłynąć na rezultaty jej wyrywkowych przesłuchań. Podała numer swojej licencji śledczego stanowego, gdy jednak pani Fletcher powiedziała, że potrzebuje trochę czasu na zastanowienie i oddzwoni później, w jej głosie wyraźnie słychać było niepewność. Po upływie dwóch godzin Lauren besztła się w duchu za z góry skazany na niepowodzenie pomysł, iż kobieta da się nabrać na taką ewidentnie zmyśloną historyjkę. Wtedy zadzwonił telefon i Isabella Fletcher, nie zadając sobie nawet trudu, by spytać Lauren, czy ma o tej porze czas, wyznaczyła jej datę spotkania na drugą po południu tego samego dnia.

Portier w budynku mieszczącym się dwie przecznice od Central Parku, barczysty mężczyzna o tubalnym głosie, przywitał Lauren, uchylając kapelusza, poprosił o dowód tożsamości, przyjrzał mu się uważnie, po czym skierował ją na górę.

— Pani Fletcher czeka na panią.

Lauren poczuła nagle ostatnie uderzenie gorąca, co zdarzało jej się często, gdy wchodziła do klimatyzowanego budynku ze skwaru, jaki panował również tego letniego dnia. W holu było pusto. Z windy wyszli kobieta i mężczyzna, Lauren wsiadła i wcisnęła guzik. Winda ruszyła w górę, a ją coraz bardziej ze zdenerwowania ścisnęło w dołku. Po raz kolejny próbowała wmówić sobie, że to, co robi, jest w pełni uzasadnione.

Starsza pani uchyliła drzwi zamknięte na łańcuch i zmierzyła ją baczny spojrzeniem jasnoniebieskich oczu spod surowo zmarszczonych brwi, po czym upewniła się stanowczym głosem:

— Pani O'Farrell, prawda? Prowadzi pani śledztwo?

Isabella Fletcher mówiła bez cienia akcentu, który Lauren zauważyła podczas rozmowy telefonicznej.

— Tak. Bardzo miło mi panią poznać, pani Fletcher.

Taksując wzrokiem młodą kobietę, jak gdyby miała jakieś wątpliwości, Isabella Fletcher poprosiła ją o okazanie licencji, jak również prawa jazdy. Lauren podała jej dokumenty. Przez moment była pewna, że pani Fletcher po prostu zamknie jej

drzwi przed nosem, ona jednak powiedziała szorstko:

— Z pewnością inaczej sobie panią wyobrażałam.

Lauren słyszała to już wiele razy i w różnym kontekście. Na ogół oznaczało to: „Jest pani znacznie niższa, niż się spodziewałam”, jakby jej głos w słuchawce telefonu był o kilkanaście centymetrów wyższy od jej stu pięćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu. Albo że jest znacznie młodsza, chociaż skończyła właśnie trzydzieści sześć lat, czyli dawno już weszła w wiek dorosły. Albo: „Myślałem, że jest pani Irlandką”. Czy naprawdę tak trudno się domyślić, że wyszła za Amerykanina o irlandzkich korzeniach? Zastanawiała się, dlaczego ludzie nie potrafią sami dojść do takiego wniosku. Często, gdy klient, przedstawiciel muzeum czy nawet właściciel budzącego wątpliwości dzieła sztuki, spotykał się z nią osobiście, obserwowała znajomą reakcję, sporadycznie słowną, lecz łatwą do rozszyfrowania. Posturę i profil odziedziczyła po matce i babce Goldman; po babce Rosenthal — przenikliwie ciemne oczy i gęste czarne kędzierzawe włosy. A przynajmniej tak twierdził ojciec. Nigdy nie poznała dziadków z jego strony.

Powoli drzwi się otworzyły.

— Proszę wejść. — Pani Fletcher zaprosiła ją gestem otwartej dłoni, chociaż w jej głosie nie było zachęty.

Miała na sobie elegancki jasnoniebieski lniany kostium, a na szyi sznur pereł. Siwe włosy były ułożone jak świeżo po wizycie w „salonie piękności”. Tego określenia używała zawsze babcia Patricka.

Gdy wychodziły z przedpokojem, w kuchni zagwizdał czajnik.

— Napije się pani herbaty? — zaproponowała Isabella Fletcher.

Lauren była ciekawa, czy kobieta nastawiła go dokładnie w taki sposób, by zagwizdał w chwili, gdy wkraczały do salonu. Cieszyła się, że przyszła punktualnie, jak zresztą miała w zwyczaju, domyślała się bowiem, że spóźnienie byłoby niemile widziane.

— Z wielką przyjemnością — powiedziała, mimo że akurat filiżanka gorącej herbaty nie była tym, o czym w tej chwili marzyła.

Isabella wskazała jej miejsce na kanapie, po czym wyszła do kuchni po herbatę, pozwalając Lauren usadowić się wygodnie, postawić dużą torbę — dwukrotnie większą od jej aktówki — u stóp i jednocześnie rozejrzeć się po pokoju. Unosił się tu zapach świeżo ściętych kwiatów — tuż przy wejściu stały na stole róże herbaciane w kryształowym wazonie — oraz inny, którego nie potrafiła do końca określić: mieszanina woni cytrynowego środka do pielęgnacji mebli i znajomej, choć nienazwanej woni medykamentów, jaką czuła zawsze, gdy odwiedzała starszych klientów. Zasłony częściowo zasunięto, pokój był słabo oświetlony i cichy. Lauren szybko przesunęła spojrzeniem po marmurowym kominku, regałach wbudowanych w ścianę, pełnych książek w twardej oprawie. Piękna tapicerowana kanapa i fotele, z jedwabnymi i gobelinowymi poduszkami, stały na dębowej podłodze, na której tu i ówdzie leżały orientalne dywaniki, na tyle wytarte, że świadczyło to o ich autentyczności. Choć meble były tradycyjne, to wszystkie wiszące na ścianach obrazy, rysunki i sztychy, niezbyt dobrze widoczne przy słabym oświetleniu, były współczesne. Dzieła ekspresjonistów, impresjonistów, malarstwo abstrakcyjne. Szkice piórkiem i tuszem, lekko pociągnięte kreski. Lauren mocniej zabiło serce. Czyżby to oryginały?

Wypatrzyła nad kominkiem obraz chyba pędzla Franza Marca, jedno z tych barwnych malowideł przedstawiających zwierzęta. Słoneczny krajobraz Murnau, dzieło Gabriele Münter. Być może akwaforta Ottona Dix'a, Lauren siedziała jednak za daleko, by dostrzec szczegóły. Sami niemieccy artyści. Ci wszyscy, którzy bez wątpienia zostali zaliczeni do tworzących „sztukę zdegenerowaną”. Już miała wstać i podejść bliżej, gdy do salonu weszła pani Fletcher z tacą. Była wytworna w staroświeckim stylu osoby świetnie wykształconej, choć o dość sztywnym, oficjalnym sposobie bycia. Lauren domyślała się, że musi dobiegać osiemdziesiątki lub ją przekroczyła, co potwierdzałoby jej przypuszczenia co do tożsamości kobiety.

— To naprawdę bardzo uprzejme z pani strony — powiedziała, gdy starsza pani postawiła tacę na stole.

Stała na niej nieduża patera z kruchymi ciasteczkami obok

dzbanka z herbatą, porcelanowych filiżanek, płóciennych serwetek, małych łyżeczek i cukiernicy. Ciasteczka były idealnie okrągłe, najwidoczniej kupne.

— Rzadko już piekę sama — wyjaśniła pani Fletcher z nutką lekkiego usprawiedliwienia w głosie.

Nalała herbaty, zaproponowała cukier — za który Lauren podziękowała — po czym podsunęła gościowi paterę z ciasteczkami. Lauren jadła późny lunch i nie była głodna, ale przez grzeczność wzięła jedno i położyła je na serwetce.

Potem pani Fletcher usadowiła się w głębokim fotelu, w pozycji umożliwiającej jej swobodną rozmowę z Lauren, dla której z kolei kanapa była trochę zbyt miękka, by czuła się swobodnie. Poprawiła się, prostując się i dyskretnie wsuwając jedną z licznych ozdobnych poduszek pod plecy. Starsza pani nabrała na łyżeczkę odrobinę cukru, posłodziła herbatę, po czym zamieszała ją i odłożyła łyżeczkę na spodek.

— Te obrazy — rzekła od niechcenia Lauren, starając się zacząć rozmowę sympatycznie i zrobić dobre wrażenie przed rzekomym śledztwem — są piękne.

Isabella skinęła głową.

— Bardzo współczesne — dodała Lauren. — I takie kolorowe — mówiła dalej, jak gdyby w ogóle nie znała się na sztuce. — Czy to oryginały?

— Współczesne — powtórzyła ze śmiechem Isabella. — Są w większości starsze ode mnie. A ja mam już swoje lata. Wiele z nich liczy ponad sto lat.

Lauren pokręciła głową z udawanym niedowierzaniem.

— Czy pani wie, ile byłyby warte, gdyby były oryginałami? — Pani Fletcher pytaniem skwitowała jej pytanie, wyraźnie unikając bezpośredniej odpowiedzi.

Lauren wzruszyła ramionami na znak, że niby nie ma pojęcia, w nadziei że pani Fletcher będzie kontynuowała temat, niewykluczone, że z własnej woli powie coś więcej o obrazach. Wyobrażała sobie swoją wieczorną rozmowę z Patrickiem, gdy już wróci po tej wizycie do domu.

— Cóż... — powiedziała w końcu Isabella, wygładzając dłonią spódnice.

Zabrzmiało to jak wskazówka dla Lauren, by się pośpieszyła. Wzięła z patery ciasteczko i położyła je na spodku.

Lauren sięgnęła do torby i wyjęła z niej notatnik i pióro, gotowa wyjaśnić fikcyjną przyczynę swojej wizyty. Jadąc metrem, powtarzała w myśli ewentualne pytania, w rodzaju: „Jak długo mieszka pani w tym budynku?”. Miała nadzieję, że naprowadzi w ten sposób rozmowę na pochodzenie pani Fletcher.

— Wiem, po co pani do mnie przyszła — oznajmiła Isabella Fletcher bez żadnych wstępów.

Lauren utkwiała wzrok w notatniku, unikając kontaktu wzrokowego i zastanawiając się, czy starsza pani może rzeczywiście znać prawdziwy powód jej odwiedzin.

— Ach tak? — Odgarnęła za uszy niesforny kosmyk włosów i podniosła głowę.

— Wolałabym, żeby nie robiła pani notatek — zastrzegła pani Fletcher. Przyjrzała się nieufnie torbie gościa. — Nie ma pani przypadkiem dyktafonu?

Lauren pokręciła głową i schowała notes wraz z piórem z powrotem do torby.

— Chodzi pani o Kandinskiego — rzekła Isabella.

Lauren siedziała w milczeniu, tak zaskoczona słowami kobiety, że dosłownie zaniemówiła.

— O Kandinskiego? — wybąkała w końcu, mimowolnie znowu błędząc spojrzeniem po ścianach.

— Nie, nie. — Isabella Fletcher roześmiała się cicho. — Tutaj go nie ma. Jest o wiele za duży na to pomieszczenie. — I zanim Laura zdążyła zareagować, dodała: — Tropicielka dzieł sztuki. Jest pani tropicielką dzieł sztuki.

Lauren niemal zeszytniała z napięcia po tym oświadczeniu. Właśnie, oświadczenie — tak zabrzmiały słowa pani Fletcher. Obie teraz milczały, ale wymieniły szybkie spojrzenia. Starsza kobieta zdawała sobie sprawę, że zdobyła przewagę — Lauren poznała to po jej ściągniętych ustach — i dała młodszej trochę czasu, by przetrawiła ten fakt.

Tropicielka dzieł sztuki? Lauren uświadomiła sobie, że ta informacja może pochodzić wyłącznie z jednego miejsca. Dwa lata temu w czasopiśmie absolwentów jej uniwersytetu ukazał

się krótki artykuł opisujący, w jaki sposób pomogła odnaleźć dzieła sztuki, które zaginęły podczas wojny, zwłaszcza obrazy zrabowane żydowskim rodzinom. Jej poszukiwania obejmowały sięganie do prywatnych kolekcji, nawet do magazynów renomowanych muzeów. Czasami muzea zatrudniały ją, by zbadała nabytki wątpliwego pochodzenia.

Lauren nigdy nie nazywała siebie tropicielką dzieł sztuki, ale taki właśnie był tytuł artykułu.

Po zrobieniu doktoratu, odbyciu stażu w muzeum i prowadzeniu przez jeden semestr zajęć wieczorowych na uniwersytecie objęła stanowisko asystentki kuratora malarstwa współczesnego w Muzeum Sztuki w Cleveland. Do jej obowiązków należało katalogowanie kolekcji i badanie nowych nabytków. Zagłębiając historię malarstwa, rozumiała, że można uzyskać wiele informacji zarówno z samego obrazu, jak i z jego rewersu. Odkrywała oznakowania numeryczne, pieczęcie urzędu celnego, inskrypcje i pieczęcie inwentaryzacyjne. Dowiedziała się, że naziści potrafili po mistrzowsku sporządzać szczegółowe rejestry.

Najpierw jej ciąża — nieplanowana, ale przyjęta z radością zarówno przez nią, jak i jej męża — a potem propozycja pracy w Nowym Jorku dla Patricka spowodowały, że Lauren postanowiła rozpocząć własną działalność, wykorzystując swoje umiejętności do tropienia zaginionych dzieł sztuki. Mogła sama ustalać sobie godziny pracy i organizować zajęcia w taki sposób, by mieć jak najwięcej czasu dla dziecka. Gdy urodził się Adam, często czuła się tym wszystkim przytłoczona, uparcie jednak starała się pogodzić macierzyństwo z pracą. Teraz Adam miał trzy lata, był radosnym, szczęśliwym dzieckiem, a ona spełniała się zawodowo i odnosiła sukcesy, odzyskując liczne dzieła sztuki albo walcząc o nie przed sądem.

— Można by przypuszczać, że jako detektyw — odezwała się wreszcie Isabella Fletcher — dokładniej zbada pani moje pochodzenie i wykształcenie. Zdaje się, że studiowałyśmy na tym samym uniwersytecie. — Choć jako osoba dobrze wychowana mówiła uprzejmym tonem, w jej głosie dała się wyraźnie słyszeć nutka samozadowolenia.

Podniosła ciasteczko do ust, odgryzła mały kawałek i odłożyła je z powrotem na spodek. Otarła wąskie wargi serwetką, zostawiając różowy ślad szminki na białym płótnie.

Lauren czuła lekkie drganie lewej powieki i była ciekawa, czy starsza pani dostrzega ten nerwowy tik.

— Wassily Kandinsky, Rosjanin — rzekła, by wypełnić ciszę, jaka zapadła po słowach Isabelli.

— Tak, był Rosjaninem, ale studiował w Monachium. Jego najważniejsze dzieła powstały w Niemczech. Jeśli ktoś przyjrzy się całości prac artysty, to należy wyrazić uznanie Niemcom za wkład w jego wczesne kształcenie i inspiracje twórcze.

Lauren zastanawiała się, dlaczego pani Fletcher przyznała się, że wie, iż ona zjawiała się u niej w sprawie Kandynskiego. Nic nie wiedziała o jego obrazie. Czy znajdował się wśród tych, które były własnością państwa i zostały skonfiskowane przez Hitlera? W berlińskich spisach inwentarza były duże luki w miejscach dotyczących dzieł wywiezionych do Lucerny. A może Isabella przypuszczała, że jej celem jest odzyskanie zrabowanych obrazów? Taki był temat uniwersyteckiego artykułu Lauren, historia jej wysiłków, by zwrócić dzieła sztuki skradzione Żydom podczas drugiej wojny światowej.

— Pani rodzina pochodzi z Monachium? — spytała, odgadując, że gospodyni zaprosiła ją, by przedstawić swoje prawa do własności obrazu, o którym Lauren nie miała nawet pojęcia.

— Mój ojciec urodził się w Monachium — odrzekła pani Fletcher. — Tam rodzice się poznali.

— A pani matka? Gdzie się urodziła?

— W Bawarii. Rodzina matki prowadziła hodowlę bydła mlecznego w regionie znanym jako Allgäu.

To właśnie jej matka była obiektem zainteresowania Lauren. Czy Isabella Fletcher ujawni pewne informacje o niej, nie zdając sobie sprawy, że w istocie o to chodzi Lauren? Postępuj ostrożnie, przestrzegła samą siebie.

— W dalszym ciągu wytwarzają tam wspaniałe sery — oznajmiła Isabella. — Moi wujostwo kontynuowali ten rodzinny interes tutaj, w Stanach. Słyszała pani o Koebler Creamery?

— O tak. — Lauren uśmiechnęła się do niej przelotnie. — Robią wspaniałe lody.

Tak naprawdę to właśnie, idąc po nitce do kłębka, przez rodzinę Koeblerów wytropiła matkę Isabelli, Hannę Schmid, kobietę nieżyjącą już od ponad sześćdziesięciu lat, kobietę, którą podejrzewała o to, że przez cały czas, gdy mieszkała w Ameryce, starała się ukryć swoją tożsamość.

— Kandinsky jest w naszej rodzinie od wielu lat — powiedziała Isabella.

— Nabyliście go w Niemczech?

Starsza pani zamrugała kilkakrotnie, po czym spojrzała na fotografię stojącą obok niej na niskim stoliku.

— Andrew i ja nie mieliśmy dzieci.

Zdjęcie przedstawiało przystojnego mężczyznę, około pięćdziesięciu pięciu lat. Andrew Fletcher, pomyślała Lauren.

Oczy starszej kobiety zaszyły mgłą.

— Z mojej strony nie ma już nikogo z rodziny. Mój brat, moja siostra, a właściwie przyrodnia siostra... wszyscy dawno poumierali. Wiele lat temu. Wszyscy moi kuzyni, ci w Niemczech i ci w Ameryce. Wszyscy odeszli. Siostra Andrew żyje, ale nie czuje się zbyt dobrze. — Jej głos złagodniał. — Jego siostrzeńcy i siostrzenice... nie mam pojęcia, gdzie przebywają teraz ci młodzi ludzie. Nigdy nie widzieli na oczy Kandinskiego. Nigdy mnie tutaj nie odwiedzili — dodała, wzruszając obojętnie ramionami. — Cały majątek przejdzie na rodzinę Fletcherów. Ale obrazy... — Umilkła.

Lauren w zamyśleniu skubała brzeg jedwabnej poduszki, miękkiej i kojącej, niczym lamówka dziecięcego kocyka. Nerwy miała napięte jak postronki. Podniecenie z powodu ewentualnego odkrycia mieszało się z niepokojem i zakłopotaniem. Była zaskoczona, że Isabella Fletcher dzieli się z nią tymi informacjami.

— Wierzę, że ma pani uczciwe zamiary, ale zapewniam, że Kandinsky trafił legalnie do naszej rodziny — oznajmiła starsza pani.

Lauren wyczuła lekkie drżenie w jej głosie. Pokiwała uspokajająco głową, zachęcając ją, by mówiła dalej.

— Doskonale rozumiem, że w czasie wojny zrabowano wiele dzieł sztuki. Wciąż słyszy się takie historie. — Głos pani Fletcher był teraz opanowany, chociaż poklepywała się nerwowo po dekolcie i muskała czubkami palców perły. — Cenne dzieła, które rzekomo zostały zniszczone podczas bombardowań lub zrabowane przez nazistów, odnajdują się nagle i zewsząd pojawiają się rodziny zgłaszające roszczenia do obrazów, które obecni właściciele uważali za legalnie nabyte. Nie szukając daleko, niedawno czytałam artykuł o van Gogh'u zakupionym przez znaną aktorkę filmową. Podobno zdobyto go niezgodnie z prawem... Zapewniam panią, że w tym przypadku tak nie jest. Kandinsky został legalnie kupiony przez naszą rodzinę. Nie będzie wobec niego żadnych roszczeń, co najwyraźniej jest powodem pani wizyty u mnie.

— Pani rodzina kupiła Kandinskiego w Monachium? — ostrożnie spytała po chwili Lauren.

Isabella skinęła głową.

Lauren znowu powiodła wzrokiem po obrazach na ścianach.

— Mogłabym je obejrzeć? — zaryzykowała.

Isabella Fletcher roześmiała się cicho, a właściwie zachichotała, co przerodziło się w parsknięcie, które niezbyt przystoi damie. Znow otarła wargi płócienną serwetką.

— Nie, nie sądzę, żebym była na to gotowa. — Odchrząknęła, po czym kontynuowała: — Nie ubywa mi lat, choć zdrowie wciąż mi dopisuje. Wkrótce jednak będę musiała zdecydować, co stanie się z obrazem. Mogłabym go sprzedać i podzielić pokąźną sumę między członków rodziny. Ale dla świata ten obraz już nie istnieje. — Utkwiła spojrzenie w Lauren, czekając na kolejne pytanie.

Lauren usiłowała zachować spokój, chłonąc każde słowo i nie być zbyt natrętna. Cisnęło się jej na wargi mnóstwo pytań, ale nie chciała powiedzieć czegoś niewłaściwego, co przerwałoby ten napływ informacji. Wzięła ciasteczko, ugryzła kawałek i popiła herbatą. Taka krucha porcelana. Milczała w nadziei, że pani Fletcher będzie mówiła dalej.

— Powinnam zrobić z tym wszystkim porządek, zanim odejdę — powiedziała starsza pani. — Albo, Boże broń, nim stracę

pamięć i zmysły — dodała, machnąwszy lekceważąco ręką. — Nikt nie zna prawdziwej historii tego Kandinskiego. Trudno byłoby sprzedać ten obraz, gdyby błędnie rozumiano jego pochodzenie. — Nagle wstała i podeszła do okna, rozsunęła zasłony, by wpuścić więcej światła. Przez chwilę spoglądała w dół, jak gdyby wypatrywała czegoś na ulicy. — Nigdy z nikim nie podzieliłam się całą historią. Może nadszedł czas, by to zrobić.

Zaskoczona Lauren zastanawiała się, czy Isabella naprawdę zamierza powiedzieć jej coś, czego nie zdradziła nikomu innemu. Dlaczego miałaby zaufać obcej osobie, która w dodatku wtargnęła do jej domu pod fałszywym pretekstem?

— Proszę mi o nim trochę opowiedzieć — rzekła Lauren napiętym, lecz spokojnym głosem.

— To jedna z jego wcześniejszych prac, nie tak bardzo geometryczna... — Isabella umilkła, kręcąc głową, jakby wyobrażała sobie coś obrzydliwego. — Późniejsze obrazy, które powstały w okresie Bauhausu, to same koła i kwadraty. Nie przepadam za tym okresem jego twórczości. O wiele bardziej podobają mi się obrazy, które namalował w Monachium. — Roześmiała się cicho. — Ale co kto lubi. Jestem pewna, że to właśnie powiedziałby mój ojciec. Moja matka też. Każdemu wolno wybierać to, co mu się podoba. Nasz Kandinsky został namalowany około tysiąc dziewięćset dziesiątego roku, na długo przed moimi narodzinami.

Lauren i teraz czekała cierpliwie, by pani Fletcher dodała coś jeszcze, ona jednak milczała. W końcu Lauren zdecydowała się spytać:

— Czy może mi pani powiedzieć, kiedy obraz trafił do pani rodziny? Gdzie został zakupiony?

— Pierwotnie w roku narodzin mojego brata, w tysiąc dziewięćset jedenastym. Był to prezent od ojca dla matki, by uczcić to wydarzenie. Wisiał w naszym pokoju muzycznym. Nazywaliśmy go „Kolory Willy’ego”. Uwielbiał go.

— Willy? Pani brat?

Isabella skinęła głową.

— Wilhelm. Zmarł wiele lat temu.

— Powiedziała pani „pierwotnie”?

— Zgadza się, pierwotnie. Tak naprawdę moja rodzina kupiła go dwukrotnie.

Dwukrotnie? — pomyślała ze zdziwieniem Lauren. Co to znaczy?

— Odziedziczyła pani obraz po rodzicach?

— Tak.

— Przyjechała pani z nimi do Ameryki? — spytała Lauren, żeby po prostu usłyszeć, co jej gospodyni odpowie.

— Mój ojciec zmarł w Niemczech.

— A matka?

— Matka uciekła.

— Uciekła? — Lauren zaintrygowało użycie przez Isabellę tego słowa. Wyjechała nielegalnie, na fałszywych dokumentach, z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi i bagażem pełnym dzieł sztuki, to byłby właściwszy opis. — Uciekła z obrazem?

— Obraz przyjechał później.

Odpowiedzi kobiety stawały się coraz zwięźlejsze. W jednej chwili pani Fletcher sprawiała wrażenie gotowej się otworzyć, w następnej zamykała się niczym kwiat pozbawiony światła. Lauren znów czekała cierpliwie, znów skubiąc brzeg poduszki.

— Żeby zrozumieć historię tego obrazu — rzekła Isabella — trzeba zrozumieć historię moich rodziców. Mojej matki. Tak... — Roześmiała się cicho, spokojnie. — Mama zawsze uważała Kandinskiego za swojego artystę. — Utkwiła wzrok w Lauren i zamrugała, powstrzymując łzy napływające do jasnoniebieskich oczu. — Ludzie muszą poznać prawdę.

— Nie mam nic przeciwko prawdzie — odparła Lauren ostrzejszym tonem, niż zamierzała, tak ostrym, że zabrzmiał jak wyzwanie.

Pani Fletcher skinęła głową, nawet na chwilę nie spuszczać wzroku z młodszej kobiety. Zaciśnięte wargi i lekko uniesiona broda wskazywały, że jest gotowa podjąć wyzwanie.

— Obrazy Kandinskiego — powiedziała — jak również prace innych postępowych artystów zostały uznane przez Hitlera za sztukę elitarną, jak gdyby ktoś potrzebował pewnego rodzaju rodowodu, by ją rozumieć. Zgodnie z jego teorią, jeśli do

zwykłego człowieka z ulicy te obrazy nie trafiały, to były gówniane.

Lauren z trudem powstrzymała uśmiech, zszokowana, że Isabella użyła tego słowa. Starsza kobieta zachichotała, jakby zaskoczyła tym samą siebie.

— Często łączył słowo „elitarny” z żydowską rasą — dodała dalej.

Lauren dotknęła wciąż niemal pełnej filiżanki, wodząc delikatnie palcami po jej cienkim, kruchym brzegu. Słyszała swój przyśpieszony, urywany oddech.

— Moja matka — kontynuowała pani Fletcher — z pewnością nie pochodziła z elitarniej warstwy społecznej, a jednak uwielbiała ten rodzaj sztuki.

— Zgodnie z pani słowami, urodziła się na wsi, w gospodarstwie rolnym. Jak to się stało, że trafiła do Monachium?

Isabella zastanawiała się nad pytaniem, najwyraźniej podejmując decyzję, w jaki sposób odpowiedzieć.

— To się zaczęło, ponieważ była nieszczęśliwa. Domyślam się, że prawdopodobnie czegoś szukała.

— Na przykład czego?

— Niezależności. Ciekawych doświadczeń, emocji. Lepszego życia. A czegoż my wszyscy szukamy?

— Znalazła to?

— Wierzę, że przeżyła chwile prawdziwego szczęścia. — Jej twarz rozjaśniła się w przelotnym uśmiechu. — Dorastała w dużej rodzinie z surowym niemieckim ojcem. Była bardzo szczęśliwa, gdy żyła jej matka. Po jej śmierci ojciec ożenił się po raz drugi. Wiem, że mama nienawidziła macochy, chociaż później być może żałowała, że nie nawiązały dobrych relacji.

— Który to był rok? — spytała Lauren. — Kiedy wyjechała do Monachium?

— Miała wtedy szesnaście lat. — Isabella zastanawiała się przez chwilę. — W tysiąc dziewięćsetnym.

— Przełom wieków. Miała zaledwie szesnaście lat? Wyjechała sama?

Isabella kiwnęła głową.

— Tak. Właściwie niezupełnie. Moja ciotka Katie, wówczas

Käthe, pracowała już w Monachium. Mama miała nadzieję, że również uda jej się znaleźć pracę w domu, gdzie jej starsza siostra była zatrudniona jako kucharka. Często pisywała do mojej mamy, łączyła je bardzo bliska więź. Ich dom w Bawarii był położony w jednym z najbardziej malowniczych miejsc na świecie. W dzieciństwie często odwiedzałam wujka i kuzynostwo na wsi. Czy widziała pani kiedykolwiek bawarskie Alpy, pani O'Farrell?

— Tak, są przepiękne.

Lauren spędziła semestr w Europie, studiując sztukę i wykorzystując każdą okazję, by podróżować. Potem wracała do Niemiec jeszcze dwukrotnie, żeby przeszukiwać nazistowskie archiwa.

— Dom w Monachium był uroczy, dość egzotyczny, szczególnie dla wiejskiej dziewczyny, ale czegoś takiego można by się spodziewać raczej nad Morzem Śródziemnym niż w samym sercu niemieckiego miasta. Dach kryty czerwoną dachówką. Marmurowe posadzki. Ręcznie tkane dywany. Lśniące orzechowe poręcze.

Isabella zamknęła oczy. Wyobrażała sobie chyba tę scenerię, wracała myślą do rodzinnego kraju. Potem znów je szeroko otworzyła, spoglądając prosto na Lauren.

— Muszę opowiedzieć tę historię. Prawdziwą historię.

Wymówiła te słowa z dużym naciskiem, Lauren czuła ich wagę, jak gdyby starsza pani miała przekazać jakąś wiadomość ogromnie istotną, jakby teraz to ona rzucała wyzwanie.